

„Można nie kochać Cię i żyć...”

gawęda na rozpoczęcie Złotu Grunwaldzkiego 2008
w mazowieckim przedstawicielstwie Wspólnoty Drużyn Grunwaldzkich

1. Nic dziwnego

Rzecz będzie o patriotyzmie, czyli o zjawisku, o którym mówić jest niemożliwe. Przeciętnemu Polakowi, który nie skończył sześćdziesiątki i nie jest politykiem, może się wręcz robić nieswojo na dźwięk słów „patriotyzm”, „Ojczyzna”, „naród”. Małkowski powiedział, że harcerstwo to skauting + niepodległość, skauting + ojczyzna. A ja czytałem na naszej-klasie wspominki harcerskich weteranów z mojego liceum, którzy otwarcie przyznają, że byli w harcerstwie 30-40 lat temu wyłącznie dla wspólnych wyjazdów w grupie przyjaciół, dla przygód i dla ładnych dziewczyn, a nie dla jakiejś tam Ojczyzny. Całą tę „*ojczyźnianą indoktrynację i opowieści o poświęceniu, walce i pracy dla Polski*” puszczali mimo uszu, traktowali jako zło konieczne, które trzeba odcierpieć, żeby móc korzystać z „tego, co jest w harcerstwie naprawdę wartościowe”. Padły tam też stanowcze stwierdzenia o tym, że o Ojczyźnie można było mówić 150 lat temu w epoce powstań narodowych, ale teraz z patriotyzmu został nam już sam nacjonalizm, prymitywna próba dowartościowania się kosztem innych narodów.



W tym samym czasie, kiedy w szkolnej harcówce dokopaliśmy się do pewnych broszurek, którymi raczono harcerzy kilkadziesiąt lat temu – „*Socjalistycznej Polsce serca, myśli czyni*” albo „*Jutro socjalistycznej Polski budujemy dziś*”. Te jakże wzniosłe hasła lansowała ta sama władza, która strzelała do robotników i wywlekała w nocy z mieszkań ludzi, którzy ośmielili się myśleć niezgodnie z wyznaczoną linią. Jeśli w tej sytuacji nie wrzusały kogoś takie obłudne frazesy, to znaczyło, że ocalał jeszcze w sobie odrobinę rozsądku. **Nieufność do patetycznych sloganów pozostała nam do dziś.** Nic dziwnego, skoro ci, którzy dziś najchętniej posługują się takimi słowami, jak „polskość”, czy „naród”, zioną jednocześnie nienawiścią do innych, a zwłaszcza do jednego narodu, z którym przez stulecia dzieliliśmy dole i niedole.

W ogóle niełatwo nam być patriotami, kiedy jesteśmy wolni i niezagrożeni. Amerykanie, Francuzi czy Brytyjczycy nie mogą się nadziwić naszym świętom narodowym, bo u nich takie dni są czasem wielkiej radości i prawdziwego świętowania. A **u nas nawet odzyskanie niepodległości świętuje się „na smutno”** – bo przecież kajdany i groby. Bo przecież przez ostatnich 300 lat co chwila walczyliśmy, co chwila ponosiliśmy klęski i traciliśmy wartościowych ludzi, których teraz mamy do oplakiwania.



A przeżywamy obecnie okres pokoju tak długi, jakiego nie było od 600 lat – dokładnie od Grunwaldu. **Ludzie chcą żyć normalnie, cieszyć się i mieć jakieś powody do dumy.** Tymczasem serwuje im się tylko pamięć o klęskach, ofiarach i o kolejnych bohaterskich czynach, które wcale nie prowadziły do zwycięstwa. Trudno być patriotą, żyjąc w małym, zacofanym kraju, który wiecznie przegrywał.

2. „Jaki duch z tej ziemi wieje i czym niegdyś była ona?”

Większość współczesnych Polaków – naszych harcerskich wychowanków nie wyłączając – na tym kończy swoje rozważania o patriotyzmie. Biedni są, nie mając zbyt wielu okazji, żeby dostrzec i docenić – mówiąc już całkiem górnolotnie – piękno tej ziemi. Nie mając większego pojęcia o jej dawnej wielkości i nie przeżywając jej minionych upadków. Gdybyśmy im stwarzali okazję do takich przeżyć i spostrzeżeń, wiedzieliby, że nie mamy się czego wstydzić. **Jest z czego być dumnym.**

Pamiętamy, jak nas gnębił Stalin i jego koledzy, ale jakby sobie dobrze przypomnieć, to przecież nasz Chrobry uderzał mieczem w kijowską Złotą Bramę i księcia wielkiej Rusi targał za brodę (a to największe poniżenie, jakie znały tamte czasy). Nie zapomnieliśmy hitlerowskich okrucieństw, ale umyka nam historyjka z czasów Krzywoustego, kiedy cesarz niemiecki pokazał polskiemu posłowi komnatę pełną złota, mówiąc: „Tym pokonam Polaków”. Rycerz Skarbek, w ogóle nie zmieszany, zdjął wtedy z palca drogocenny pierścień, dorzucił go do stosu kosztowności i powiedział „*Idź, złoto, do złota – my, Polacy, kochamy się w żelazie!*”.



Potem był Grunwald – zwycięstwo wielkie wcale nie dlatego, że to największa bitwa średniowiecznej Europy, że po obu stronach walczyło kilkanaście narodów, nie dlatego, że wyzwoliliśmy od kłopotliwego sąsiada całą wschodnią Europę, tylko dlatego, że pokazaliśmy naszą prawdziwą wielkość. Po bitwie przyniesiono Jagielle zwłoki Wielkiego Mistrza, którzy jeszcze rano ubliżał mu i drwił z niego. Na pobojowisku pozostali już tylko nasi – i martwi. Nikt nie patrzył. Jagiełło mógł z tymi zwłokami zrobić wszystko – na przykład wschodnim zwyczajem pozbawić je głowy (i odesłać ją, zakonserwowaną w miodzie, do podziwiania innym władcom) albo pozostawić krukowi na rozdziobanie. Król spojrzawszy na Wielkiego Mistrza, pomodlił się za jego duszę i powiedział „*Za jego życia byliśmy równi, a teraz on zginął rycerską śmiercią. Tak go odprowadźcie, jakbyście mnie odprowadzali!*”. Ulryk von Jungingen wyruszył w swoją ostatnią drogę z królewskimi honorami. Dostojnicy Zakonu zostali pochowani w kościele w Stębarku, razem ze znakomitymi polskimi rycerzami, a jeńcy zostali wypuszczeni do domu na słowo. Na rycerskie słowo, któremu się ufa, bo pewne zasady obowiązują nawet wtedy, kiedy się wydaje, że już wszystko wolno. Przed grunwaldzkim Przyrzeczeniem mówimy „**Wielkość zwycięzcy mierzy się jego wspaniałomyślnością**” - to było naprawdę wielkie w grunwaldzkim zwycięstwie.

Jeszcze w czasach Jagiełły przyjechał podobno na dwór królewski cudzoziemski rycerz z opaską na oku, który ślubował, że nie odsłoni oka, dopóki nie ujrzy pogańskiego władcy. Stanąwszy przed naszym królem, zdjął opaskę. Ale już syn Jagiełły, Kazimierz Jagiellończyk, nie mógł się opędnąć przed cudzoziemcami, którzy przybywali na jego dwór w zupełnie innym celu – **każdy europejski władca chciał wówczas zostać zięciem króla Kazimierza z Polski.** I dlatego wszyscy panujący dziś w Europie monarchowie są potomkami Kazimierza Jagiellończyka. Synom Jagiellończyka Czesi i Węgrzy ofiarowali swoje trony. Pod rządami najmłodszego z nich, Zygmunta Starego, Polska była już drugim pod względem potęgi krajem ówczesnej Europy. Krajem, który jeszcze 100 lat po jego śmierci, osłabiony wojną domową, został w ciągu 4 lat napadnięty przez wszystkich sześciu swoich sąsiadów – i ocalał.

i uwięzili arcyksięcia Karola Albrechta von Habsburga wraz z całą rodziną – za polskość... Jego córka przez pół wieku mieszkała na Zachodzie, a kiedy upadł komunizm, pierwszym jej krokiem był wniosek o przywrócenie polskiego obywatelstwa. Dziś mieszka pod Żywcem, w swojej ojczyźnie. Nazywa się Maria Krystyna von Habsburg-Altenburg i jest dumna z tego, że jest Polką.

3. Nasz ruch

Każdy musi się jakoś „ustosunkować” do Polski. I każdy się wobec niej jakoś „ustawia” – przodem albo bokiem, a niektórzy tyłem, bo mają wszystko gdzieś i już. Trzeba umieć docenić tych, którzy przed nami walczyli za ojczyznę, nie cofając się przed ofiarą życia. Mimo niewątpliwie romantycznej otoczki, nie podejmowali tych decyzji z radością. Zrezygnowali ze wszystkiego – z obecności bliskich osób, z planów, marzeń, z całkiem drobnych spraw życia codziennego. Zdecydowali, że pewnego dnia ich świat może się nagle skończyć – i często tak się właśnie staowało.

Dziś Polsce nic poważnego nie grozi i nie zanoszą się na to, żebyśmy musieli się podobnie poświęcać. Ale to nie znaczy, że ta kwestia zupełnie już nas nie dotyczy. **My też mamy coś do zrobienia.** Może to zabrzmie dziwnie znajomo, niemal groźnie, ale uważam, że naszym zadaniem jest budować nowe, lepsze społeczeństwo. Takie, w którym ludzie szanują wzajemnie swoją wolność i odmienność, a przy tym ufają sobie, pomagają i nie boją się wychodzić z twierdzy własnego domu, żeby zrobić coś dla wspólnego dobra (a przez to zresztą również i dla własnej korzyści).

Nasze podstawowe obowiązki dotyczą **bycia dobrym obywatelem** – a dobry obywatel to ktoś, kto rozumie, że będziemy żyli w takim kraju, jaki sobie urządzimy. Dlatego pierwszy nasz obowiązek to **chodzić na wybory i głosować najmądrzej, jak potrafimy**, zadając sobie tylko jedno pytanie: co ten człowiek, na którego głosuję, robi dla Polski, czy dla mojego miasta. Jeśli my nie zagłosujemy, o wyniku wyborów zadecydują inni – często mniej rozważni od nas.



Drugi obowiązek to branie **spraw w swoje ręce, kiedy trzeba.** Polityka nie byłaby bagnem, gdyby zajmowało się nią więcej porządných ludzi. Dotyczy to również naszego najbliższego otoczenia. Czasem warto nie oglądać się na władze czy na tzw. „innych” – i jeśli jest taka potrzeba, wyjść z inicjatywą, przekonać do niej innych i zacząć ją realizować. Inaczej można przez dziesięciolecia czekać na doprowadzenie kanalizacji, naprawę chodnika czy renowację zabytkowego budynku i wołać wniebogłose „*Gdzie była ta Unia, kiedy mi się płot przewracał?!?*”



Czasem trzeba sobie przypomnieć, że **obok nas żyje wielu ludzi, którzy sobie radzą gorzej, niż my** – niepełnosprawni, ubodzy, dzieci z trudnych rodzin. Na szczęście są tacy, którzy nie czekają, aż państwo się tym zajmie, tylko sami biorą odpowiedzialność za to, żeby tym ludziom pomóc – np. działając w rozmaitych stowarzyszeniach, uczestnicząc w akcjach pomocowych. Głupio jest stać zupełnie obok, kiedy można pomóc na tyle sposobów. Pewnie nie zawsze będziemy mieli czas, żeby popracować systematycznie w organizacji pozarządowej, ale cenne są choćby najmniejsze kroki – zawsze przecież można próbować namówić starszą ciocię, żeby odpisała swój 1% na Centrum Zdrowia Dziecka zamiast na... co innego.

A taka najbardziej podstawowa sprawa – to **być przyzwoitym, uczciwym człowiekiem**. Co to ma wspólnego z patriotyzmem? A to, że każdy, kto się w tej dziedzinie pilnuje, pomaga Polsce stawać się fajnym miejscem. Nie gniazdem pijaczków, nierobów i kombinatorów, tylko normalnym krajem, w którym każdy może żyć, nie wstydząc się tego. To są takie sobie zwyczajne, małe i proste rzeczy. Tu przypominają się z kolei słowa z wprowadzenia do Zobowiązania Instruktorskiego: „...aby ułożyli sobie życie w ten sposób, żeby miejsce na służbę Polsce było w nim oczywiste”. I tylko tyle. Nic wielkiego. Żadnych bohaterskich ofiar i wyrzeczeń. Trzeba dorzucić jakąś swoją małą cegiełkę i już. Prawie nic. Ale „prawie” robi wielką różnicę. Bo podejmując ważne życiowe decyzje, trzeba się liczyć z tym, że kiedyś może paść trudne pytanie: „Tato, prapradziadek walczył w Legionach i bił się z bolszewikami, a potem zginął w obozie za bycie Polakiem, pradiadek walczył we wrześniu, prababcia była łączniczką Armii Krajowej, dziadek narażał siebie i rodzinę w solidarnościowej konspiracji. A ty, tato – co w życiu zrobiłeś?” Hm?



Mam koleżankę, która właśnie skończyła studia medyczne i wyjechała do Francji, żeby tam być lekarzem i tam zostać na zawsze. Dlaczego? Bo tamtejsi lekarze zarabiają cztery razy tyle, co w Polsce. I tam może żyć jak człowiek. Pytam ją zatem nie bez przekornego zadęcia: „*Jak to? Chcesz być lekarzem, chcesz ratować życie i zdrowie, ale tylko to życie i zdrowie, za które więcej płacą? Tu masz rodzinę, przyjaciół, tu jesteś u siebie i chcesz gdzieś daleko być przez całe życie przybłądą, bo tam dobrze płacą?*”. Odpowiedź była twierdząca.

Nie ma nic złego w wyjazdach z kraju. Ba, to świetnie, że tak łatwo można teraz wyjechać na jakiś czas, żeby sobie dorobić. Żeby móc wrócić i lepiej żyć. To normalne, każdy zasługuje na taką możliwość. To jednak nie zamyka tematu. Nie potrafię tego opisać, ale zostając na zawsze z dala od kraju, zwłaszcza dla pieniędzy, traci się coś bardzo ważnego. Moi pradziadkowie poznali się i pobrali równo sto lat temu w Stanach Zjednoczonych, dokąd uciekli przed wielką nędzą. Mam kopię manifestu pokładowego, w którym odpowiadano między innymi na pytanie, czy imigrant ma przy sobie chociaż 50 dolarów na pierwsze dni pobytu. Przy nazwisku mojego pradziadka wpisano \$5. Potem nieźle im się powiodło w Ameryce i mogliby tam zostać, jak duża część ich rodzin. To byli zwykli, bardzo prości ludzie, więc Polska nie poniosłaby dotkliwej straty, gdyby już zostali „za wodą”. Ale wrócili, bo wierzyli, że **tu jest ich dom i tu jest kawałek ziemi, który wymaga ich pracy**.

Bywało tak, że ktoś musiał wyjechać i już nie mógł wrócić. Tak jak bohater mojej drużyny – cichy, skromny, poczciwy Ignacy Domeyko, którego imieniem nazwano ulice, miasta, skały, gatunki roślin i zwierząt, góry i lodowce. On, nawet będąc już światowej sławy naukowcem, wielkim dobroczyńcą narodu chilijskiego, człowiekiem takiego formatu, że i w Sorbonie,



i w Watykanie był przyjmowany z honorami, spędziwszy przeszło pół wieku z dala od rodzinnych stron i będąc traktowany jak obywatel świata, tak wyraźnie dawał świadectwo swojej polskości, że do dziś w Ameryce Południowej nie mówi się o nim inaczej niż „*gran sabio polaco*” - 'wielki mędrzec z Polski'. Wykonał w ten sposób dla Polski naprawdę dobrą robotę. A w sumie to przecież nic wielkiego. I tak ma być – żeby każdy z nas coś od siebie dołożył. O obowiązkach wobec Polski

wiele się teraz nie mówi, a ogromnej części naszych rodaków w ogóle te sprawy nie obchodzą. Nikt nas zatem z tego nie rozliczy. Nic się nie stanie, jeśli i my nie będziemy się tym przejmować. Ale to już sprawa przyzwoitości – nie brać zupełnie za darmo tego, co innym sporo kosztowało. Znow się tu patos wkradnie, ale nasi poprzednicy z tylu pól bitew, z tajgi syberyjskiej, z bezimiennych powstańczych grobów w lasach – patrzą na nas teraz. Oni już swoje zrobili, a dziś jest nasz ruch. Teraz my musimy umieć się zachować.

hm. Maciej Młynarczyk